

ROBERT HICHENS.

Bella Donna

Tłumaczenie z angielskiego Marji Starezewskiej.

TOM II.

— Tak, komplikacji. Pan jest zupełnie pewny, że to tylko porażenie słowcem?

— Zupełnie.

— A ja nie.

Doktor Hartley spojrzał na niego.

— Wiem, że pan przyszedł z widokiem na konsylium — rzekł sztywno. Lecz mój pacjent o to nie prosił, a ponieważ moim zdaniem, jest ono zupełnie zbyteczne, mam nadzieję, że pan uzna, że dalsza o tem rozmowa jest zupełnie nie na miejscu.

— Mówi pan, że chory nie życzy sobie mego zdania? — rzekł Isaacson umyślnie nie ukrywając zdziwienia.

— Tak jest zupełnie z mojej kuracji zadowolony. Powiedział mi to rano, kiedy przyjechałem.

— Ani na chwilę na wątpliwość o pańskich zdolnościach, doktorze Hartley, ale w skomplikowanych wypadkach dwie głowy...

— Kto mówi o skomplikowanym wypadku?

— Ja mówię. Wygląd Mr. Armine, uczynił na mnie okropne wrażenie. Gdyby pan go był znał zdrowym, jak ja go znałem, doznałby pan takiego samego wrażenia. Był jednym z najzdrowiej, najsilniej wyglądających ludzi, jakich kiedykolwiek spotkałem.

Kiedy to mówił zdawało się, że widzi przed sobą Armine'a takim jakim był dawniej.

— Zmiana, jaka w nim zaszła tak pod względem fizycznym, jak i duchowym jest przerażająca — zakończył.

Doktor Hartley się niecierpliwił. Kręcił kapełusz, ociągał spodnie, rzucił papieros na dywan, poczem spiesznie zgasił go nogą. Siedząc z nogami już nie wyciągniętymi, lecz silnie na dywanie opartymi, rzekł:

— Rzecz prosta, że taki atak jak ten, zmienia człowieka. Czego innego mógł się pan spodziewać? Doprawdy! Czego innego? Zauważyłem to wszystko! I dlatego zostaję tutaj. Słowo daję, doktorze Isaacson, słysząc pana, możnaby pomyśleć, że bagatelizuje chorobę mego pacjenta.

Mówił z oburzeniem.

— Pan gołw mnie jeszcze posadzić o zawodową nieumiejętność — ciągnął dalej. — Nie wspominałem o tem, ale teraz powiem, że uważam pańskie wtrącanie się do mego pacjenta za uchybienie etykietce przyjętej w naszym zawodzie.

— Jakie wtrącanie?

— Słyszałem, że pan mu coś dał zeszłego wieczoru — coś na sen.

— Tak, dałem.

— To miało bardzo zły skutek.

— Czy ma się gorzej dzisiaj?

Isaacson bezwiednie powiedział to prawie z naciskiem. Hartley zacisnął wargi.

— To nie konsylium — rzekł w końcu chłodno.

— Pytam się jako przyjaciel chorego nie jako lekarz.

Znowu zacisnął wargi. Jego twarz i cała elegancko ubrana postać wyrażały żywą niechęć.

— Śpi teraz — dodał.

— Śpi teraz?

— Tak. Będzie spał kilka godzin. To ja go uspiłem.

Isaacson doznał niezmierniej ulgi. Przez kilka godzin jego przyjaciel będzie spał.

Postanowił mówić bez ogródek.

— Słuchaj pan, doktorze Hartley — rzekł — nie chcę pana usuwać. Nie jestem zwykłym lekarzem, pragnącym się wtrącić do rzeczy, która do niego nie należy dla jakiegoś interesownego powodu. Mogę pana zapewnić, że mam aż nadto do czynienia z chorobą w Londynie i radbym nie zajmować się nią tutaj. Pragnę odpoczynku.

— Miej go pan, drogi doktorze Isaacson — zauważył niewzruszony Hartley — miej go pan i pozostaw mnie przy mojej pracy.

— Nie. Z zawodową etykietą, czy bez zawodowej etykiety nie mogę opoczywać podczas gdy mój przyjaciel jest tak ciężko chory. Nie mogę tego uczynić.

— Lękam się jednak, że pan będzie musiał to uczynić. Jestem amerykańcem i nie pozwolę

się odsunąć od rzeczy, którą wzięłem w ręce — odsunąć w sposób tak mało grzeczny i przeciw życzeniu tych, którzy mnie powołali. Nigdy w całej mojej karierze żaden lekarz nie wpakował się — tak to jest najwłaściwsze wyrażenie — nie wpakował się jak pan. To poprosi nie do zniesienia, a ja nie jestem człowiekiem, któryby znosił to, co zniesionem być nie powinno.

— Gdzie jest Mrs. Armine? — zapytał nagle Isaacson. — Czy także śpi?

— Tak.

Impertynencko niedbały ton głosu Hartleya podniecił Isaacsona. Nigdy jeszcze nie czuł takiej fizycznej prawie potrzeby okazania gwałtowności, jak teraz. Lecz nie pozwolił sobie na wybuch, jakkolwiek ciężko mu to przyszło.

— Jak długo pan przypuszcza, że będzie jeszcze spała?

— Kilka godzin.

— Czy pan chce powiedzieć, że ja także uspił?

— Zdecydowałem się to uczynić. Noc jej nie była dobrą.

Isaacson wspomniął na odgłosy, które go doszły poprzez wodę.

— Pan jej dał nasenne lekarstwo?

— Tak.

— Lecz ona się mnie spodziewała. Spodziewała się, że przybędę na konsylium.

— Przepraszam. Pan powiedział, że przybędzie. Mrs. Armine postąpiła względem mnie ze skrupulatną delikatnością. Wiem to. Pan ja postawił w bardzo trudnym położeniu. Wytlumaczyła mi to wszystko kiedy przyjechałem.

— Wytlumaczyła! — Isaacson doznał wrażenia, jak gdyby walczył z nieprzyjacielem, który podłożył minę, a sam się schował.

— Wczoraj wieczorem, doktorze Hartley — rzekł bardzo spokojnie i zimno — Mr. Armine w obecności Mrs. Armine wyraził gorące życzenie oddania się w moje ręce. Przybyłem tutaj bez najbliższej chęci uchybienia panu, lecz ponieważ pan uważa za odpowiednie stawianie mi trudności, muszę się wypowiedzieć. Wczoraj wieczorem Mr. Armine rzekł: — Nie chcę mieć więcej do czynienia z doktorem Hartley. Nic nie wie. Nie chcę go widzieć jutro. Mrs. Armine była z nami i słyszała te słowa.

Gorący rumieniec oblał twarz młodego człowieka. Okragłe jego oczy patrzyły z wyrazem prawie śmiesznego zdziwienia.

— On... on powiedział — zaczął. I nagle pozwalając sobie na amerykańskie przeciąganie, dodał:

— Przepraszam — lecz temu nie wierzę.

— A jednak to szczerą prawdą.

— Nie wierzę temu. Widziałem Mr. Armine, który powitał mnie z radością. Powierzył się mi zupełnie. Prosił, żebym go ratował.

Isaacson uczuł nagle ból w sercu.

— Muszę go widzieć — rzekł prawie szeptem.

— Nie chcę, żeby mu przeszkadzano — rzekł Hartley z bardzo przejrzyłą nieprzyjaźnią człowieka, który doznał zniewagi. — Jako lekarz zabraniam panu przeszkadzać memu pacjentowi.

— Po tem, co zaszło tej nocy i co zaszło dzisiaj nie mogę odejść bez widzenia się z Mr. Armine, albo Mrs. Armine — rzekł w końcu Isaacson.

Czy osłabiony umysł Nigla, smutny wynik jego choroby walczył przeciw jego przyjacielowi, przeciw jedynej szansie wyzdrowienia? To skomplikuje całą sprawę, postawi — Isaacson pomyślał to jasno — w tak trudnej sytuacji, że wszelka jego pomoc stanie się niemożliwą. Jaka scena zaszła w nocy, kiedy opuścił Lonlię? Zdawało mu się, że słyszy znowu ten przeraźliwy śmiech i krzyki, które po nim nastąpiły.

— Jeżeli nie mogę zobaczyć Mr. Armine jako lekarz, muszę go widzieć jako przyjaciela.

— Przez kilka dni nie będę mógł pozwolić, żeby widział kogokolwiek oprócz Mrs. Armine, mnie, i naturalnie swego służącego, Hanzy.

Isaacson zatopił przenikliwe, ostre jak nóż spojrzenie w młodego człowieka. Zrodziło się w nim podejrzenie, straszne, może głupie... ale czyż wszystko nie jest możliwe na tym świecie? które jednak mogło spoczywać na prawdzie. Pod tem spojrzeniem młody lekarz drgnął i poruszył się niespokojnie.

— Co... co panu się zdaje? Jakaś prawda. — Co pan ma na myśli?

Machinalnie poprawił krawat.

— Nie rozumiem pana — dodał.

A kiedy dziwny wyraz znikł z oczu, które

otrzymały odpowiedź na swe pytanie, odzyskała równowagę i rzekł:

— Stanowczo nie pozwalam panu wiedzieć się z Mr. Armine. Pan by go zmęczył i podniecił. Potrzebuje największego spokoju. Mózg jest nadzyczał czułym organem.

Isaacson nagle doznał wrażenia, że ma przed sobą uparłego chłopca, i wszelki gniew, jaki czuł do niego, ustąpił. Przeciwnie miał teraz uczucie ironii i politowania. Wyrzucił mu chwilową krzywdę swem podejrzeniem i za tę chwilę chciał mu zadość uczynić. Że młody lekarz o tem nie wiedział, to go nie obchodziło. Winien był zadość uczynienie samemu sobie.

— Doktorze Hartley — rzekł prawie serdecznie — zdaje mi się, że się wzajemnie nie rozumiemy. Może to moja wina. Nie powinienem był powtarzać słów Mr. Armine. Wprowadziły były wypowiedziane, lecz chorzy nie wazą słów. My lekarze wiemy o tem i nie zwracamy wiele uwagi na to, co mówią. Pan jest tutaj, jestem tego pewny, jestem tego pewny, bez żadnej innej intencji, niż wyleczyć mego biednego przyjaciela. Ja mam to samo pragnienie. Po co mamy się kłócić?

— Nie pragnę żadnej kłótni, lecz nie chcę się poddawać człowiekowi, który się włiska i stara się mnie usunąć.

— Ależ bynajmniej, nie chcę pana usuwać. Pragnę tylko, żeby mi było wolno współpracować z panem. W Londynie ofiarują mi daleko więcej pracy, niż mógłbym jej podolać. Jeżeli pan mnie wezwie na konsylium, to netylko nie zaszkodzi, lecz pomoże pańskiej lekarskiej opinii. Bez zarożumiałości mogę to powiedzieć. A jeżeli pan myśli, że jestem na Nlu, żeby zebrać pieniądze, pan się myli. To jest wypadek, w którym trochę mego osobistego szczęścia jest wmieszane. Mam wiele przyjaźni dla tego chorego człowieka. Oto cała prawda.

Doktor Hartley patrzył na niego, spojrzał w dal i znowu na niego.

— Nie wątpię o pańskiej przyjaźni dla Mr. Armine — rzekł z lekkim naciskiem na przedostatnim wyrazie.

— Czy pan pozwala, żebym po przyjacielu omówił tę chorobę z panem? Żadne formalne konsylium. Proszę tylko wyjawic mi pańskie całkowite przekonanie i odpowiedzieć na pytania, które mi się nasuną.

— Nasunął! Lecz pan nie badał chorego. Pan nie zna wszystkich szczegółów choroby.

— Nie, lecz widziałem chorego.

— Tylko przez kilka chwil, o ile wiem. Jak pan mógł wyrobić sobie zdanie?

— Nie mówię, że wyrobiłem, lecz niektóre rzeczy mnie uderzyły.

Doktor Hartley spojrzał swemi ładnymi okrągłymi oczami.

— Naprzykład szara cera, reumatyczne bóle, oddech!... czy pan zauważył? ale bez wątpienia pan musiał zauważyć... opuszczanie rąk chorego.

Twarz młodego lekarza spoważniała. Wyglądał mniej pewny siebie.

— Opuszczanie rąk — rzekł.

— Tak.

— Rozumie się. Osłabienie mięśni zupełnie naturalne przy dłuższej chorobie. Turysci powinni być ostrożniejsi.

— Przypuszczam, że pana uwiadomiono, że chory mieszkał i pracował przez wiele miesięcy z rzędu w Egipcie. Ma posiadłość ziemską w Fayum i sam zajmuje się jej uprawą. Nie jest nowicjuszem w Egipcie ani niedoświadczonym turystą. Przyzwyczajony do słońca przez dłuższy przeciąg czasu.

— Ah, tak? — rzekł Hartley.

— Czy to nie dziwne, że doznał porażenia słowcem wczesną wiosną, w lutym?

— To szczególne — tak, to szczególne — przyznał.

Załozyl nogę na nogę.

— Przypuszczam, że Mr. Armine sam przypisywał swoją chorobę słowcu — rzekł po chwili Isaacson.

— To jest — oh, tak, odrazu to się rozumiało, że to słowce. Niema wątpliwości co do tego. Wyszedł w samo południe w Tebach bez kapełusza. Prawdziwe szaleństwo! Ludzie to widzieli.

— I wszystko z tego poszło?

— Tak. Naturalnie nie był zupełnie zdrow przedtem.

— Nie?

(Ciąg dalszy nastąpi).